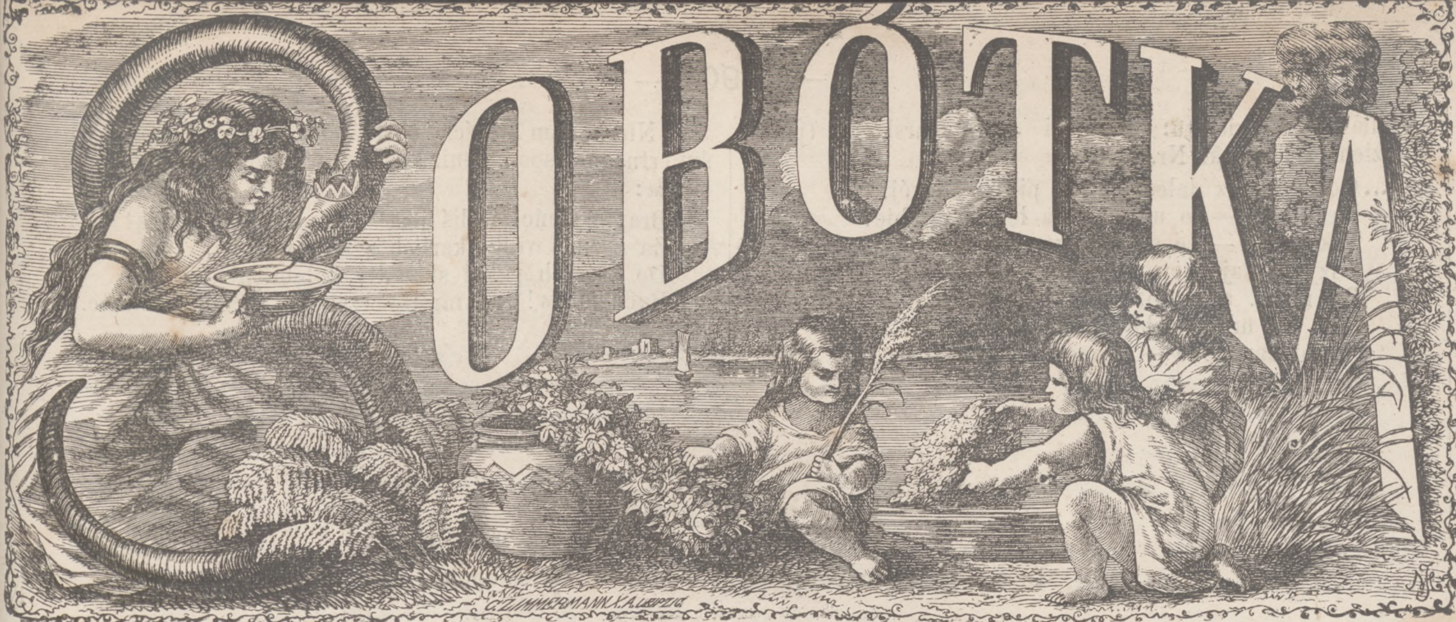


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№. 37. Poznań, dnia 10 Września 1870. Rok II

Od Redakcyi.

Wkrótce rozpoczniemy druk powieści „Nieszczęsny Legat“ I. K. Turskiego. Powieść osnuta jest na stosunkach współczesnych i napisana z talentem właściwym temu autorowi. —

Przy nadchodzącym czwartym kwartale, upraszamy szanownych abonentów Sobótki o odnowienie przedpłaty i życzliwe popieranie naszego pisma.

JAN KANTY TURSKI.

Zmarły przedwcześnie dla piśmiennictwa naszego Turski należał do nielicznego grona tych ludzi, co nie zrażeni przeciwnościami niezłamani ubóstwem, pozostają do ostatniego tchnienia wiernymi raz wytkniętemu celowi i, jako kapłani idei, kroczą zawsze naprzód bojując całe życie...

Dziwny zaiste fenomen, że wśród tylu przykładów niedostatku i nędzy, jakiemi darzy swych pracowników u nas literatura, znajdują się jeszcze umysły prawdziwie wyższe, chwytające z poświęceniem i zaparciem osobistych korzyści, strzaskany rylec lub lutnię, by prowadzić naród po Kalwaryjskiéj drodze żywota, do nieodgadnionych przeznaczeń Opatrzności. A rzadko ich nawzajem naród do piersi przyciśnie, rzadko za trud i pracę odpłaci; — za życia zwykle żółcią poją Zoile, straszna rzeczywistość — brak chleba wstrzymuje orle poloty ducha, i dopiero wtedy, gdy biedny męczennik skołataną głowę złoży w przybytku śmierci, — przypominamy go sobie, sypiemy mu kadzidła, stawiamy pomniki! Takiego losu doznali między innymi Mickiewicz, Słowacki, Syrokomla, Wasilewski — podobną dolę przeznaczył Bóg ś. p. Turskiemu. Ciernie i głogi krwawiły dłonie pilnego pracownika na niewdzięcznéj niwie; troska o jutro trawiła chorego i zatruwała mu ostatnie chwile życia...

Urodził się Turski roku 1833 w Krakowie, w tym grodzie narodowych pamiątek, który daje za scenę wszystkim niemal swym powieściom. Od młodości poświęciwszy się literaturze, gdy w rodzinnem mieście nie znalazł stosownego swym talentom pomieszczenia, udał się do Warszawy i tam objął redakcyę Bazaru, tygodnika mód, będącego własnością I. Kaufmana. Ale gdy za ukazaniem się zwycięzkiego rywala w Bluszczu, Bazar przestał wychodzić, Turski powrócił do Galicyi i objął posadę nauczyciela gimnazyalnego w Kołomyi; smutne życie zakończył w największym niedostatku w ukochanym grodzie Krakusa, d: 7 cz: br: Ś.p. Jan Kanty był współpracownikiem wielu Warszawskich i Galicyjskich pism, pisał szczególniéj powieści jako to: Wielkie początki, Ocalona, Życie bez jutra, Dalecy krewni, Na Warszawskim bruku, Zochna hrabianka kilka poezyi jak n. p. Morawski, konfederat Barski i komedyjkę: Faworyt.

Bałucki i Szujski zajmują się obecnie wydaniem zbioru pism Turskiego. Charakterystycznem znamieniem jego utworów w ogóle, a mianowicie poezyi była serdeczna rzewność i głębokie patryotyczne uczucie, o czem pięknie mówi szkólny towarzysz nieboszczyka, Ernest

Buława, w wierszu: Pamięci J. K. Turskiego (patrz Dziennik literacki Nr. 25):

...Gdzie nieraz dałeś mi pół pieśni łzawéj...
Pieśń twa — to urna pełna łez na grobie!
Tak pełna — że się brzegami przelewa
I łzy te dają spadając na ciernie
Pić im!... a za to, że ją kolą wiernie —
I na téj urnie ciche ptaszę śpiewa —
Łzami karmione — sierocą piosenkę!

Niech nam wreście posłuży na zakończenie tego pośmiertnego wspomnienia, ostatnia wspomnianego wiersza strofa:

Bramo słońc! jeśliś jest — Bądź mu otwartą!
Za ciasne wrota karlich serc téj ziemi,
Do których pukał skrzydły gołębiemi!...
Bądź zdrów! zapomnij—przebacz!— choć niewarto....

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

Otworzył więc drzwi rezolutnie i jak wryty stanął na progu... W oświeconym jasno salonie, na czarnéj, skórzanéj kanapie, przy butelce starego węgrzyna, przyjacielską z księdzem proboszczem zajęty rozmową, siedział pan Feliks Szyszkiewicz, a przy oknie, szczebiocąc jak para gołąbków, stał Staś uśmiechnięty i Zosia promienna radością!...

„Prosiemy, prosiemy, kochany panie Filipie!“ uradowany zawołał ksiądz proboszcz, prowadząc go na środek pokoju. „Na wielką pan dzisiaj przychodzisz uroczystość i podzielisz się zapewne mem szczęściem... Oto para narzeczonych!“ zawołał, przedstawiając mu Stasia i Zosię, „a za miesiąc szczęśliwe małżeństwo!...“ Pan Filip osłupiałe oczy wodził po wszystkich obecnych... Zosia uśmiechnęła się doń wdzięcznie, Staś bacznie przyglądał się jego twarzy, pan Feliks wyciągnął się na kanapie i tryumfalnem, ironiczném zmierzył go spojrzeniem, a ksiądz proboszcz, całkiem zajęty swém szczęściem, nalewał węgrzyna w kieliszki... Trudno opisać, co się działo w olbrzymiéj pana Filipa mozgownicy... Nie musiało tam być myśli zapewne, bo zupełna bezmyślność w wytrzeszczonych malowała się oczach...

„No, raz jeszcze“ zawołał ksiądz proboszcz, zapraszając go ręką do stołu, „w obec tak miłego mi gościa, niech żyje para zaręczonych!...“

Pan Filip machinalnie zbliżył się do stołu, drżącą dłonią uniósł kieliszek i zaledwie bąknąwszy „Niech żyje“ wychylił go duszkiem do kropli... Pod wpływem ożywczego nektaru pan Filip pomyślał nareszcie, jak głupią musi mieć minę, dojrzał szyderstwo w zmrużonych oczach pana Feliksa, uczuł w sercu ból jakiś okropny, mruknął jakieś przekleństwo pod nosem i chwiejnym krokiem wybiegł z pokoju...

Na świeżém dopiero powietrzu zupełnie powrócił do zmysłów i obejrzał się w téj ruinie swoich najświetniejszych nadziei... W nieméj pogrążony wściekłości, przygryzał wargi skrwawione, połykał łzy toczące się po licach, walił pięścią w każde drzewo, w każdy mur, który spotkał na drodze; kopnął psa leżącego na progu i uderzył bez żadnéj przyczyny chłopaka biegącego ulicą. Doszedłszy przed dom Matusińskich, spostrzegł w sieni wysoką postać sąsiada. Pomimo ciemności zupełnéj widział na jego twarzy uśmiech okropny, szyderczy, chciał się rzucić i zdławić nędznika!... W takim stanie przybył do domu i wdrapawszy się szczęśliwie na piętro zapukał do izby Kubusia. Drzwi były na klucz zamknięte... Pan Filip nie zastanawiał się nad tém, lecz nie mogąc ich rozwalić całym gradem silnych uderzeń, pobiegł do swego pokoju i sapiąc upadł na łóżko... Wściekłość szalona powoli, powoli chłodniejszym ustąpiła rozmyślaniom. Pan Feliks począł żałować, że tak mało zapanował nad sobą, że tak fatalnie zdradził się w oczach proboszcza.... Daléj przechodził wszelkie szczegóły swoich zabiegów i poznał z wielką pociechą, że niczego nie zaniedbał w tym względzie. Cały błąd, cały ciężar gniewu i nienawiści spoczął na głowie Kubusia... „Tak jest!‘ przebąkiwał pan Filip, pocierając olbrzymią łysinę. „Ten błazen brać się nie umiał do rzeczy!... Gdyby miał choć trochę wykształcenia, gdyby miał jakiekolwiek maniery, byłby mógł wyżgać tego wymokłego panicza... A jak go zaganiałem do książki, to bałwanowi uczyć nie chciało się wcale... Dam ja ci, smarkaczu!...“ W téj chwili nieobecność Kubusia przyszła na myśl panu Filipowi... „Gdzie on siedzi tak późno?“ zapytał się nagle zdziwiony... Pan Filip żadnéj wymyślić nie mógł odpowiedzi i jakiś dziwny przejął go niepokój...Duszno mu było w téj atmosferze przepełnionéj niejako nieszczęściem i oknem wyjrzał na podwórze... Cisza była zupełna w około. Pan Filip niecierpliwił się tą ciszą, w któréj jakiś szmer szyderczy, złowrogi zewsząd dolatywał do niego, zamknął więc okno i biegać zaczął po izbie... Ale ów dziwny, nieopisany niepokój nie odstąpił go ani na chwilę.. Drżący wreszcie od gniewu i żalu, zupełnie złamany na siłach, dręczony zagadkowém przeczuciem, rozebrał się z szybkością błyskawicy, obwinął się kołdrą wytartą i po godzinnéj walce z całym rojem sprzecznych uczuć i myśli, usnął snem ciężkim, męczącym...

Cicho i pusto było już w domu proboszcza, północ na ściennym wybiła zegarze, ksiądz proboszcz, chodząc wzdłuż swéj sypialni, ostatnie odmawiał modlitwy, kiedy drzwi gabinetu z lekkim otwarły się skrzypem i cichuteńko, na palcach wszedł do pokoju Piórkiewicz i pokornie stanął na progu. Jego postać wysoka i chuda, jego twarz blada i słodka, jego oczy wielkie, maślane, jakimś srebrnym świecące połyskiem, — wszystko to na

tle nocnéj ciemności tworzyło obraz niemiły. Piórkiewicz wyglądał jak upiór, jak topielec, okropny choć cichy...

Ach, pan Piórkiewicz!" zawołał ksiądz proboszcz zadziwiony tą późną wizytą. „Pan mi winszować przychodzisz zapewne szczęśliwych méj synowicy zaręczyn?" Piórkiewicz uśmiechnął się dwuznacznie i zagadkowo wzruszył ramionami.

„Ha! łaskawy księże proboszczu," rzekł głosem cichym i słodkim, „jest czego powinszować zaprawdę!... Pan Stanisław chłopiec miły i ładny, przytem wyższym obdarzony polotem, panna Zofia szczęśliwą z nim będzie.... „Ale, ale" dodał oczy spuszczając ku ziemi, „ileż z tąd nieprzyjemności wyniknie dla księdza proboszcza!..." „Cóż znowu?" zapytał ksiądz proboszcz, spoglądając na niego z niechęcią.

„Hm, hm" słodko zanucił Piórkiewicz, „cóż na to powiedzą w miasteczku?... Czyliż to ich niedorzecznych nie potwierdzi domysłów?... A konsystorz czy nie uwierzy téj bajce, mając w ręku tak jasne dowody?..."

Ksiądz proboszcz zamyślił się głęboko. Upojony szczęściem swéj Zosi, zapomniał całkiem o burzy, jaka zewsząd zbierała się nad nim, nie pomyślał nawet w tych chwilach rozkoszy, że właśnie to szczęście najczystsze mogło z chmur tych piorun wywołać... Słowa Piórkiewicza strąciły go z raju na ziemię. Piórkiewicz w téj chwili zdawał mu się upiorem kłócącym spokój żyjących. Spojrzał na niego wzrokiem pełnym wyrzutu i gniewu i rozpoczął przerwaną modlitwę.

Piórkiewicz nie zraził się wcale.

„Jedynym byłoby ratunkiem" dodał, cicho wsuwając się do sypialni, gdyby pan Szyszkiewicz wygrał ów proces nieszczęsny."

Proboszcz nie zważał na niego, stanął przed wiszącym krucyfiksem i wpatrywał się w oblicze Chrystusa...

„I ratunek ten jest w moim ręku!" głośniéj zawołał Piórkiewicz, składając zwój papierów na biórku. Oto mapa z roku dwónastego, w któréj wyraźnie grunt sporny objęty granicą Grabinek, oto akt formalny zakupna" prawił ożywiając się coraz więcéj, „w którym ściśle oznaczone granice... Czterdzieści lat minęło dopiero, o przedawnieniu nie może być mowy,... pan Szyszkiewicz jest prawnym dziedzicem!... Proboszcz bacznie wpatrywał się w oczy Piórkiewicza, jakgdyby duszę jego chciał zbadać do głębi.

Z kąd to waćpan wyrwałeś, do licha?" spytał niecierpliwie, przewracając z żółkłe dokumenta...

„A w archiwum, księże proboszczu!" słodziutko odparł Piórkiewicz, „w owéj skrzynce znalazłem, pod stosami rupieci... Prostym przypadkiem, łaskawy księże proboszczu, bo któż w takim miejscu tak szacownych mógł się spodziewać papierów?..."

Ksiądz proboszcz usiadł w fotelu i zagłębił się cały w dokumentach. Piórkiewicz, któremu zły humor proboszcza widocznie nie był na rękę, cichuteńko wysunął się z pokoju.

„No!" zawołał, przechodząc podwórze, „proboszczyka mam już w kieszeni!... Ratuję mu posadę i honor, a więc wdzięcznym być musi do śmierci... Pan Szyszkiewicz również odpłacić się zechce, otóż i dwie główne sprężyny... A kochani obywatele miasteczka popamiętają szpiega na wieki!...

Piórkiewicz po raz pierwszy w swém życiu, o zwykłéj zapomniał powadze. Rogatywkę nasunął na ucho, pogwizdywał wesołą piosenkę, zacierał ręce co chwilę i przyśpieszonym puścił się krokiem. Tryumf ten niezmiernie wzruszył Piórkiewicza; głowa jego płonęła, serce mocniéj biło radością, krew pospieszniéj uderzała w tentnach, wzbudzając myśli tysiące..... Piórkiewicz czuł potrzebę dalekiéj, dalekiéj przechadzki, szerokiego w okół widnokręgu, w którymby szczęście jego żadnéj nie znalazło tamy, żadnéj zmysłowéj granicy... Tém naturalném pędzony uczuciem, bitą drogą powędrował za miasto. Przechodząc koło domu Matusińskich, ujrzał w sieni wysoką postać gospodarza i skłonił mu się niziutko. W krótce potem znajdował się wśród pola, oddychał balsamiczném powietrzem, w mrugające wpatrywał się gwiazdy, słuchał choralnego żab skrzeku i w ciemną, nieskończoną dal nieba dążył duchem skrzydlatym... Nagle tentent kopyt i kół, toczących się po drodze z rozkosznego zbudził go zachwytu..... Był to wózik o słomiannych siedzeniach, z dwoma siwkami w uprzęży. Piórkiewicz poznał z daleka ulubione pana Filipa rumaki i zdziwił się tą nocną przejażdżką. Na przodzie siedział mężczyzna niezbyt wysokiéj postawy, owinięty płaszczem olbrzymim, z czapką zasuniętą na oczy; na tylném siedzeniu kobieta, obszerną okryta zarzutką, z szeroką na twarzy zasłoną... Zadziwienie Piórkiewicza do niezmiernych wzmogło się rozmiarów. Nie mogąc ani poznać tych osób, ani domyślić się któréj z postaci, puścił się kłusem za niemi. Ale ów zagadkowy mężczyzna zaciął biczem spieszące rumaki i wyciągniętym galopem pospieszył gdzieś, w stronę lasu... Piórkiewicz długą chwilę stał rozmyślając na miejscu, lecz nie mogąc rozwiązać téj zagadki, zadumany powrócił do domu...

UPIOR.

(Z Dziadów Mickiewicza)

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły;
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata:
Cóż to za człowiek? Umarły.

Patrz, duch nadziei życie mu nadaje,
Gwiazda pamięci promyków użycza;
Umarły wraca na młodości kraje
Szukać lubego oblicza.

Pierś znowu tchnęła, lecz pierś lodowata,
Usta i oczy stanęły otworem;
Na świecie znowu, ale nie dla świata:
Czémże ten człowiek? Upiorem.

Ci, którzy bliżéj cmentarza mieszkali,
Wiedzą iż upior ten co rok się budzi;
Na dzień zaduszny mogiłę odwali,
I dąży pomiędzy ludzi.

Aż gdy zadzwonią na niedzielę czwartą,
Wraca się nocą, opadły na sile;
Z piersią skrwawioną, jakby dziś rozdartą,
Usypia znowu w mogile.

Pełno jest wieści o nocnym człowieku,
Żyją, co byli na jego pogrzebie,
Słychać, iż zginął w młodocianym wieku:
Podobno zabił sam siebie.

Teraz zapewne wieczne cierpi kary,
Bo smutnie jęczał i płomieniem buchał;
Niedawno jeden zakrystyan stary
Obaczył go i podsłuchał.

Mówi, iż upior skoro wyszedł z ziemi,
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił;
Załamał ręce, i usty chłodnemi
Takową skargę wyrzucił:

„Ktoś inny myślał, — że obrażam ciebie,
Uwłaczam jego rodowitéj dumie...
Przecież ulegał grzeczności potrzebie
Udawał, że nie rozumie,

„Lecz i ja dumny, żem go równie zbadał,
Choć mię nie pyta, chociaż milczeć umiem:
Mówiłem gwałtem .. a gdy odpowiadał,
Udałem, że nie rozumiem.

„Ale kto nie mógł darować mi grzechu,
Ledwie obelgę na ustach przytrzyma,
Niechętnie lica gwałci do uśmiechu,
I litość kłamie oczyma:

„Takiemu tylko nigdym nie przebaczył!....
Wszakże, skargami nigdym ust nie zmazał,
Anim pogardy wymówić nie raczył,
Kiedym mu uśmiech okazał......

„Duchu przeklęty! poco śród parowu
Nieczułéj ziemi ogien życia wzniecasz?
Blasku przeklęty! zagasłeś, i znowu...
Poco mi znowu przyświecasz?

„O sprawiedliwy, lecz straszny wyroku!
Ujrzeć ją znową, poznać się, rozłączyć,
I com ucierpiał, to cierpieć co roku,
I jakem skończył, zakończyć!...

„Żebym cię znalazł, muszę między zgrają
Błądzić, z długiego wyszedłszy ukrycia...
Lecz nie dbam, jak mię ludzie powitają:
Wszystkiegom doznał za życia.



Upior.

„Tegoż dziś doznam, jeśli dziką postać
Cudzemu światu ukażę z pod cieni
Jedni mię będą exorcyzmem chłostać,
Drudzy ucieką zdziwieni.

„Ten dumą śmieszy, ten litością nudzi,
Inny szyderskie oczy zechce krzywić....
Do jednéj idąc, za cóż tyle ludzi
Muszę obrażać, lub dziwić?

„Cóżkolwiek będzie, dawnym pójdę torem:
Szydercom litość, śmiech litościwemu!...
Tylko, o luba, tylko ty z upiorem
Powitaj się po dawnemu....

„Kiedyś patrzyła, musialem jak zbrodzień
Odwracać oczy; słyszalem twe słowa...
Słyszałem co dzień, i musiałem co dzień
Milczeć, jak deska grobowa.

„Śmieli się niegdyś przyjaciele młodzi
Zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą;
Starszy ramieniem ściska i odchodzi,
Lub mądrą nudzi mię radą.

„Śmieszków i radców zarówno słuchałem,
Choć i sam może nie lepszy od drugich:
Sambym się gorszył zbytecznym zapałem,
Lub śmiał się z żalów zbyt długich.

Spojrzyj i przemów! Daruj małą winę,
Że śmiem do ciebie raz jeszcze powrócić:
Mara przeszłości, na jednę godzinę
Obecne szczęście zakłócić.

„Wzrok twój nawykły do świata i słońca,
Może się trupiéj nie ulęknie głowy;
I może raczysz cierpliwie do końca
Grobowéj dosłuchać mowy,

„I ścigać myśli, po przeszłych obrazach
Błądzące jako pasożytne ziele,
Które śród gmachu starego po głazach
Rozpierzchłe gałązki ściele......“

Wojna.

(Z ryciną.)

II.

Klęski poniesione pod Weissenburgiem i pod Wörth były zupełną niespodzianką i dla armii francuzkiéj i dla całego narodu. Żołnierze cofający się z pola bitwy, gdzie dzień cały z heroiczną odwagą walczyli, nierozumieli czemu przypisać to niepowodzenie, skoro oni świetnie dopełnili swéj powinności. „Jesteśmy zwyciężeni i zdradzeni“ sarkali stare wiarusy, rzucając broń o ziemię. Lecz to złamanie ducha we wojsku trwało tylko chwilę. Na drodze pomiędzy Strassburgiem i Nancy spotkały się resztki armii Mac Mahon'a ze świeżemi pułkami przybywającemi z Francyi. „Z kąd przychodzicie“ krzyknięto na nich; „my z Normandyi, a wy?“ „My, my z tamtąd“ odpowiedzieli pierwsi smutnie potrząsając głową „Odwagi, odwagi! krzyknął sierżant normandzkiego pułku, my pomścimy was!. Niech żyje Francya!“ wrzasło tysiące gardzieli, a ten okrzyk wojenny, który odbił się niekończącem się echem o szczyty Wogezów, podniósł upadłe serca i nową je zapełnił nadzieją. —

Inaczéj było w Paryżu. Wprawdzie i tam nie poddano się zaraz rozpaczy, i tam zawołano ochłonąwszy z pierwszego wrażenia „sursum corda!“; lecz wejrzano głębiéj w całą sprawę i podczas gdy lud na ulicach przeklinał rząd i generałów, zażądała izba prawodawcza od ministrów wytłumaczenia im przyczyn poniesionych klęsk. Z rapportów o bitwie pod Wörth pokazało się, że Mac Mahon uległ przewadze liczby, że francuzkie wojska były zmuszone cofnąć się aż za Mozelę i zezwolić na zajęcie Alzacyi i części Lotaryngii przez wojska pruskie, ponieważ ich liczba była za małą, aby módz zaczepnie działać. Zkąd to pochodzi, że wojsko nasze nie dochodzi liczby 300,000, pytali się posłowie lewicy. Przypomniano sobie wówczas zaręczenia czynione przed wybuchem wojny przez marszałka Le Boëuf'a ministra wojny, który twierdził, że może wystawić 800,000 żołnierzy do boju. Było to w owych gorączkowych dniach, które poprzedziły wypowiedzenie wojny. Izba prawodawcza, od któréj ministrowie żądali pozwolenia na wypowiedzenie wojny, wysadziła z pośród siebie komissyę celem rozmówienia się z ministrami. „Czy jesteśmy przygotowani?“ pytał się w komysyi hr. Kératry. „Jak najzupełniéj“ odrzekł Le Boeuf. „A cóż pan rozumiesz, panie marszałku,“ dorzucił poseł Cassagnac, „pod tem jak najzupełniéj.“ „Rozumiem to“ odparł mininster wojny, „że gdyby wojna i rok trwała, niepotrzebowalibyśmy kupić ani guzika.“ I czem się teraz okazały te zaręczenia? Czczym frazesem; brakło wojska, broni, amnicyi, żywności dla żołnierza; wykazał się najokropniejszy nierząd w administracyi wojskowéj, a prowadzenie dotychczasowe wojny dowiodło, że marszałek Le Boeuf był równie niezdolnym szefem generalnego sztabu, jak nieopatrznym ministrem wojny. Rząd francuzki rzucił się do wojny lekkomyślnie, a prowadził ją niedołężnie i w obec wybornéj organizacyi pruskiéj, która potrafiła we dwa tygodnie rzucić nad Ren pół miliona wojska, którem genialnie kierował szef sztabu generalnego gen. Moltke, poparty innymi dzielnymi dowódzcami, musiała armia francuzka zostać pobitą i jednym zamachem wyrzuconą za Mozelę.

Trzeba było tedy zmienić i rząd inaczelnego wodza. Upadło ministerium Ollivier'a i Grammont'a, a na czele nowego stanął gen. Cousin-Montauban, który w wojnie z Chinami zdobył był sobie tytuł hr. Palikao. Generał ten znany był jako zapalony zwolennik rządów cesarskich, nie polecało go więc to w oczach wielkiéj części narodu niechętnéj cesarzowi, ale w téj chwili groźnego niebezpieczeństwa zapomniano o zatargach wewnętrznych, zapomniano o opiniach politycznych generała, a przypomniano sobie tylko, że Palikao, chociaż 73 letni starzec, odznaczał się zawsze żelazną energią i śmiałością. A ludzi woli i energicznych potrzeba było przedewszystkiem temu nowemu rządowi, który uważano nie za konstytucyjne ministeryum, jeno za komitet obrony narodowéj.



Achilles Bazaine.

Mniejsza więc o wyobrażenia polityczne ministrów, byle umieli kraj zasłonić przed najazdem Prusaków. I ministrowie nie inaczéj zapatrywali się na swoje zadanie. „Wziąłem tekę ministra tak samo, jak gdybym wziął karabin, gdyby mnie do tego przeznaczono“ odrzekł jeden z ministrów zapytany przez przyjaciela, co go skłoniło do przyjęcia miejsca w tak dziwnie złożonym rządzie.

Nowe ministerjum wzięło się energicznie do przygotowania środków dla wojska regularnego; powołano gwardję narodową pod broń; podjęto formacyę dwóch nowych korpusów pod dowództwem generałów Vinoy i Trochu; fortyfikacye Paryża zaopatrzono w działa i wzmocniono nowemi okopami; cesarz złożył naczelne dowództwo, które powierzono marszałkowi Bazaine. Franciszek Achilles Bazaine urodził się w r. 1811, kształcił się w szkole politechnicznéj, poczem wstąpił do wojska i jak wszyscy generałowie francuzcy, zdobył sobie szlify oficerskie w Algierze. Podczas wojny krymskiéj był już generałem dywizyi, i w téj to randze został w r. 1862 wysłany do Mexyku, gdzie niebawem otrzymał naczelne dowództwo i tytuł marszałka. O działaniach jego w Męksyku, jako reprezentanta rządu Francuzkiego względem cesarza Maksymiliana, różne wydawano sądy; nawet ówczesny jego adjutant, a dzisiaj członek opozycyi parlamentarnéj hr. Kératry, wystąpił z ostrem zaskarzeniem przeciwko swemu wodzowi, zarzucając mu, że wydał na jatki cesarza Maxymiljana, a nawet, że dopuścił się brudnych postępków, aby się zbogacić na wyprawie. Bazaine nigdy nic nieodpowiedział na czynione mu zarzuty, zbył je dumnem milczeniem. Jeżeli więc z tego względu cień rzucała wyprawa meksykańska na marszałka Bazain'a, to z drugiéj strony wyrobiła mu ona sławę znakomitego wodza: podczas całéj wojny nigdy Bazaine zwyciężonym nie został. Meksykanin, tak nazywano marszałka w Paryżu, po amerykańsku poprowadzi wojnę, nie wypuści on ani

jednego Prusaka z Francyi, odgrażano się na bulwarach.

Z usiłowaniami rządu szła ręka w rękę ofiarność narodu. Ks ta Orleańscy, wygnani potomkowie króla Filipa, zgłosili się do wojska; znany z szlachetnego swego charakteru i talentów gen. Changarnier, wygnaniec od r. 1852, stawil się w Metz we dwa dni po klęsce Francuzów pod Wörth. „Najjaśniejszy Panie“ odezwał się wchodząc do cesarża Changarnier, „Francya w niebezpieczeństwie, czas zapomnieć o przeszłości. Ofiaruję ci moją głowę i rękę. Ręka słaba, bo mam lat 73, ale głowa jeszcze dobra“. Cesarz kazał go natychmiast przyjąć do armi. Mieszkańcy Paryża wzięli się sami do wzmocnienia miejskich warowni, do gwardyi ruchoméj stawiło się na pierwsze zawołanie kilkuset milionowych paniczów.

Potrzeba się było też śpieszyć, gdyż wojska pruskie szły szybko naprzód prąc przed sobą cofającą się armię francuzką. Książę następca tronu przeszedł Wogezy, zajął Luneville, Nancy, w dziewięć dni po bitwie dod Wörth dotarli ułani pruscy do Commercy nad rzeką Maas i do Bar le Duc. Gnał on przed sobą rozbity korpus Mac Mahon'a, który połączywszy się z marszałkiem Canrobertem, cofał się szybkiemi marszami ku Châlons nad rzeką Marną, dokąd miały przybyć posiłki z Paryża i cały korpus gen. Feliksa Douai, który stał dotychczas w południowéj Alzacyi. Ku Châlons też miała się udać gros armii faancuzkiéj pod Bazainem, koncentrująca się w Metz. Czekano tylko na przybycie pobitego pod Forbach gen. Frossard'a, aby rozpocząć odwrót ku Verdun. 14-go sierpnia brzybyły ostatnie pułki Frossard'a, ale w też tropy za armią i wojska pruskie pod gen Steinmetzem, który aby opóźnić wymarsz Francuzów, zaatakował ich tego samego dnia. Wywiązała się z tąd krwawa walka, trwająca aż do wieczora, znana bitwą pod Pange, Longueville, lub Courcelles, gdyż około tych wiosek toczyła się walka. Francuzi cofnęli się do Metz, Prusacy ponieśli ciężkie straty, lecz opóznili wymarsz wosk francuzkich do Verdun, który rozpoczął się 15-go, którego to dnia wyruszył z Metz gen. Failly i część gwardyi.

Ruch gen. Steinmetza i bitwa z 14-go były tylko pierwszym objawem śmiałego, a genialnego planu gen. Moltke'go, który postanowił przeszkodzić wymarszowi Bazaine'a z Metz, odciąć mu drogę do Châlons i rozpołowić w ten sposób armię francuzką.

Aby wykonać ten plan zbliżył się Ks. Fryderyk Karol, podczas gdy Ks. następca tronu szedł daléj ku Marnie, przeszedł rzekę Mozelę pod Pont à Musson i zwrócił się następnie na północ, aby się wsunąć pomiędzy Metz a Verdun i odciąć odwrót Francuzom. 16-go sierpnia stanęły wojska pruskie pod Mars la Tour, na drodze bitéj prowadzącéj z Metz do Verdun. Bazaine musiał go zwyciężyć, jeżli się chciał dostać do tego miasta. Rozpoczęła się tedy około wiosek Rozonville, Vionville, Gravelotte, zajadła bitwa, która trwała 12 godzin. Francuzi walczyli dzielnie i byli dobrze prowadzeni, jak to przyznaje raport pruski, jazda pruska mianowicie pułki Dragonów i Kiryssyerów gwardyi poniosły ciężkie straty; kartoczownice z których po doświadczeniach pod Wörth drwili Prusacy, pokazały się straszną bronią. Zwycięztwo było długo niepewnem, ostatecznie jednak utrzymali się prusacy na zajętych pozycyach i chociaż większe niżli Francuzi ponieśli straty, odnieśli strategiczne zwycięztwo, gdyż droga do Verdun była w ich ręku.

Dzień 16-go kosztował z jednéj i z drugiéj strony tysiące ludzi, a przecież krwawe żniwo w okrąg Metz nie było jeszcze dokonanem. Pozostawała jeszcze marszałkowi Bazaine północna droga odwrotu, za Briey ku Montmédy, zkąd byłby mógł podać rękę armii w Châlons stojącéj. 18-go więc sierpnia wyruszył z Metz i zajął stanowisko około St. Privat, Foncourt i Gravelotte, lecz i tu zastał już naprzeciw wojska pruskie. Nowa straszliwa, 9 godzin trwająca walka, zakończyła się zwycięztwem Prusaków. Mianowicie około St. Privat, wioski leżącéj na saméj drodze ku Briey, toczył się srogi i długo nierozstrzygnięty bój. Był to klucz całéj pozycyi, gwardje pruskie zdobywały go i poniosły straszne straty, mianowicie gwardyjski batalion strzelców, z którego tylko 600 ludzi zostało, a wszyscy oficerowie byli zabici lub ranni. Przecież w końcu wsparte przez Sasów zdobyły gwardje St. Privat, Francuzi zostali i z innych stanowisk zepchnięci na Metz, nawet drogę żelazną do Thionville obsadzili Sasi. Bitwą tą, noszącą nazwę bitwy pod Gravelotte, kierował osobiście król pruski i gen. Moltke.

Były to straszne walki, owe bitwy 14-go, 16-go i 18-go w okrąg Metz stoczone, walki przypominające gigantyczne zapasy na polach Katalońskich, lub pod Lipskiem, gdzie także dni kilka z rzędu walczono. Liczby zabitych i rannych nikt dotąd nie policzył, kupami leżały ciała walecznych, przygniecione potrzaskanemi działami i końskiemi trupami. Ta groza śmierci wstrząsnęła umysłem ukoronowanego wodza wojsk pruskich, jak świadczy o tem list króla Wilhelma do królowéj z pobojowiska pisany, a przesiąknięty okropnością wrażenia, jakie toż pobojowie o sprawiało.

Rezultat odpowiadał wielkości ofiar. Marszałek Bazaine został zamknięty w Metz, gdzie wprawdzie do dzisiaj stoi niepokonany, ale odcięty od Paryża, dokąd po dniu 18-go sierpnia tylko armia Mac Mahon'a w Châlons zagradzała Prusakom drogę.

O FOTOGRAFII.

Kto z nas nie posiada zbioru fotografii? Kto w chwili wolnéj przeglądając kartki albumu nie doznał zadowolnienia, jakie daje wspomnienie związane bądź z miejscem, bądź z osobą? Matka, któréj syn poszedł walczyć za ojczyznę, lub koleją zwykłą młodzieńca, wyrwał się z rodzinnego gniazda, by jak ptasze o własnych skrzydłach lotu swego próbować, zawiesza wizerunek jego nad łożem i wpatrując się weń, odświeża w pamięci obraz w duszy wyryty. Dzieci z błogiem uczuciem i razem ze łzą żalu patrzą na portret rodziców pogrzebanych, bo obraz uprzytamnia chwile szczęśliwe, pod ich czułą opieką ubiegłe. Kochanek ciśnie do gorącéj piersi obraz ukochanéj, — pragnąłby go mieć wciąż przed sobą, lubuje się szlachetnemi jéj rysami i wzajemnością uczuć z nich mówiącą. Portret kolegi, przyjaciela, a nawet i znajomego tylko, jest równie miłą pamiątką, jako wspomnienie ubiegłych stósunków, wspólnych kolei i wypadków życia. A każde wspomnienie, złe lub dobre, zawsze miłą gościnność w duszach naszych znajduje.

Fotografia daje nam nietylko wizerunek osób, ale i miejsc. Gmach, miasto, okolica, słowem wszystko co okiem objąć możemy, da się objąć fotografią. Ci, którym środki dozwalają zwiedzać obce kraje, tanim kosztem nabyć mogą fotografie miejsc godnych uwagi i w wolnéj chwili odświeżyć w pamięci to, co się niegdyś widziało.

Za pomocą fotografii rozpowszechniają się obrazy osób i faktów złączonych z historyą. Któżby dziś nie-

rozpoznał np. rysów Kościuszki i Jana Sobieskiego? Komu z mało znających historyę obcy jest fakt Unii Litwy z Polską, uwiecznionéj pędzlem genialnego Matejki i zozpowszechnionéj fotografią? Fotografii zawdzięczać należy, że imię Grotgera powszechnie jest znane.

Nieskończylibyśmy wyszczególniając wszystkie korzyści, jakie nam fotografia przynosi.

Do najgłówniejszych zaliczamy tę, że pozwala korzystać z siebie zarówno bogatym i biednym. Malarstwo tylko w małéj cząstce mogło objąć te działy, któremi fotografia dziś się zajmuje — wykonanie tu wymaga i długiego czasu i talentu. Nic więc dziwnego, że płody malarstwa drogo są opłacane, a ztąd tylko małéj liczbie wybranych mogą być przestępne.

Ale obok tych wielkich zalet fotografii, nie może ona jednak stanąć w jednym rzędzie ze sztukami pięknemi. W wielu razach oddaje im przysługę i pomoc, ale nie ma i nie rości sobie prawa do jakiegokolwiek ze sztukami pięknemi zbratania.

W początkach wynalazek fotografii, zadziwiający szybkim postępem i coraz większą doskonałością rezultatu, obiecywał przyszłość olbrzymią. Chemia i fizyka zdawały się chcieć wstępnym bojem opanować jeśli nie całą to przynajmniéj część pewną sztuk pięknych. Już zmięszanym portrecistom żałosne śpiewano de profundis, już widziano omdlałych z przerażenia sztycharzy, kruszących swe rylce o miedziane blachy, już nawet i pejzażystom groźny przepowiadano upadek.

Powoli jednakże nawalnica tych błędnych mniemań uspakajała się, gwałtownie wezbrane potoki gróźb proroczych do właściwego sobie powracały koryta, a dziś, po ogólnem ochłonięciu z pierwszych wrażeń, z łatwością rozpoznać i przewidzieć możemy wielkie bez wątpienia, lecz o wiele skromniejsze przysługi, jakich od fotografii wymagać należy.

Nikt już, mamy nadzieję, nie łudzi się dziś, aby przyrząd mechaniczny, choćby też nalepszy, zastąpić potrafił wyobraźnię i uczucie artystyczne, w najprostszych nawet swych objawach. Niedość wszakże na tem: przekonano się już dowodnie, że niewolnicza kopia natury, chociaż zdumiewa wykończeniem wszystkich szczegółów, nie może zadowolnić, obudzić w duszy uczuć nieokreślonych a porywających. Czujemy wszędzie brak umiejętnéj ręki, która z martwych nawet cząstek stwarza całość pełną harmonii, życia i piękna.

Niewolniczość jednakże naśladowania natury zdawałaby się na pozór niezbędną w portretach, i dla tego téż najbardziéj rozpowszechnionem zastosowaniem fotografii, jest portretowanie.

Prostem byłoby szaleństwem, gdyby którykolwiek z artystów pomyślał nawet ubiegać się o niedościgłą dla ludzkiéj ręki dokładność i doskonałą precyzyę, jaką nam daje sama przyroda, działająca w machinie fotograficznéj. Ależ zbadajmy jaki to rodzaj dokładności, w czém leży ta ogromna precyzya fotografii?

Rysy są i muszą być niezaprzeczenie doskonałe, modelacyja jest w najwyższym stopniu subtelna i prawdziwa. Czyż równie prawdziwe jest odtworzenie wyrazu i charakteru osoby portretowanéj? Wiemy przecie, że kto chce posiadać doskonale zdjęty z siebie fotograf, musi nnjzupełniéj skamienieć na chwil kilka, tak dalece, że zaledwie dozwolone mu jest mrugnienie powieką. Czyż może więc fotograf odtwarzać życie, jeśli oryginał zaprzeć się go musi koniecznie?

Nic dziwnego zatém, jeśli prawie zawsze wrażenie wielkiego podobieństwa rysów, ostudza jakaś sztywność i martwość w całéj postawie. Lecz przypuśćmy nawet, że niejeden umie zasiąść pod machiną, lub stanąć i spoglądać z całą swobodą, bez najmniejszego nastroju; toć i w tym razie fotograf powtórzyć może dokładnie chwilowy jedynie humor, nigdy zaś charakteru ogólnego osoby schwycić nie potrafi.

Najlepiéj o tém przykonywa nas stereoskop. Tu oczom naszym najdotykalniéj przedstawia się bryłowatość tak zupełna i wszechstronna, że już koniecznie domagamy się ruchu, krwi, życia. Ale niestety! martwą tylko widzimy tam postać, przerażającą nas podobieństwem i.... skamieniałością!

Spojrzymy teraz na dzieła wielkich mistrzów sztuki: jakiem to życiem, jaką prawdą tchną portrety Tycyana, Rembrandta, Velasquez'a, Van-Dyck'a! Jakżeż tam jasno wyczytujemy dziś historyę wieków ubiegłych, biografię niemal osób przedstawianych!

Pod tym najważniejszym właśnie względem, fotografia nie wytrzymuje najmniejszego porównania z malarstwem i rzeźbą, a choć osiągnie ona zapewne w przyszłości większą jeszcze doskonałość, co do stopniowania tonów i kolorów, nie dostąpi jednak nigdy rzeczywistego celu w portrecie: żywego odtworzenia charakteru i ducha, które jedynie schwycić może i powinna żywa artysty ręka.

Niektórzy malarze czasami posługują się fotografią przy malowaniu portretów; pojmujemy z łatwością, że może ona być pomocną co do ubioru i otaczających przedmiotów; przynosi bowiem ulgę malarzowi, a bardziéj jeszcze osobie portretowanéj; co do głowy jednak pomoc ta musi być utrudnieniem tylko i niebezpieczném dla artysty zabałamuceniem.

Dotychczas staraliśmy się wykazać ujemną stronę fotografii; w kilku słowach teraz wyrazimy wielkie i prawdziwe przysługi, rzeczywistą pomoc jaką jéj zawdzięczamy wszyscy, a szczególniéj artyści i zwolennicy sztuk pięknych.

Ogromne muzea, znakomite zbiory prywatne, pomniki świadczące o potędze i wyrażające ducha ubiegłych wieków, stały się dziś przystępnemi dla wszystkich, a rozpowszechnienie tylu arcydzieł sztuki, nietylko jest szacownym skarbem dla artystów, ale zarazem silnie oddziałać musi na wykształcenie smaku, na wyrobienie trwalszych i zdrowszych pojęć o sztuce w massach narodu. Słowem fotografia wywrzeć może tu wpływ nieoceniony, o ile umiejętną kierowana będzie ręką, i jeśli prócz niewolniczego i bezpośredniego naśladowania saméj przyrody, będzie propagatorką tworów ludzkiego ducha.

U nas w Polsce, fotografie nie rozpowszechniły się jeszcze tak, jak to widzimy za granicą. Tylko Warszawa stanęła na równi z innemi miastami stołecznemi Europy. Na wystawie powszechnéj w Paryżu w r. 1867 fotografie Warszawskie, a mianowicie z zakładu pana Mieczkowskiego odznaczały się dokładnością i czystością. Sędziowie przyznali wówczas Warszawianom dwa medale bronzowe. Pierwszeństwo nad wszystkiemi otrzymały pracownie wiedeńskie. Następnie szły paryskie, warszawskie, berlińskie, londyńskie itd.

W Poznaniu posiadamy stósunkowo wielką ilość zakładów fotograficznych, ale tak jak i w innych prowincyach poprzestają one tylko na fotografowaniu osób. Całego działu natury, pamiątek historycznych i budowli jeszcze tu nie tknięto. A już nie mówiąc o prowincyi, sam Poznań mógłby wiele materyału dostarczyć. Zdaje się nam, że album Poznania, lub album widoków Wielkopolskich w każdym salonie miejsceby znalazł. Dobrze więc byłoby, żeby zakład pana Hoffa, odznaczający się tu między innemi starannością, podjął się tego zadania. Przy dobrem wykonaniu, umiarkowanych cenach i umiejętnéj sprzedaży, na rozpowszechnienie liczyć można. Rzucamy tę myśl w nadziei, że jako łącząca w sobie utile i dulci podjętą będzie.

ROZMAITOŚCI.

Kto był wynalazcą całusa?

Jak każda rzecz na świecie, ma i całus swoją historyę, i dzięki badaniom dzisiejszych estetyków, którzy zdaniem naszem — a zapewnie i czytelniczek naszych — słusznie zaliczają całus do kategoryi „piękna," posiadamy już teraz nie jeden ciekawy szczegół téj historyi. Badania te nie dotarły wprawdzie jeszcze do samego źródła, t. j. nie wykryły stanowczo, kto był właściwym wynalazcą całusa; ale mimo to zdaje się nie podlegać już żadnéj wątpliwości, że zaszczyt i zasługa tego wynalazku należy się głównie piękniejszéj połowie rodzaju ludzkiego. Przynajmniéj wskazują to rozmaite starożytne podania, z których przytoczymy tu najciekawsze.

W dawnym Rzymie zabraniała stara ustawa Rzymiankom używać wina. Ażeby zaś dociec, czy istotnie zachowują one to przykazanie, włożono zarazem obowiązek na mężów, by nadstawiając ust żonom i najbliższym kuzynkom swoim, tak młodym jak i starym, przekonywali się tym sposobem, czy oddech ich nie tchnie winem. Otóż wieść niesie, że ówczesne piękności, zapewne wiedzione chwalebną chęcią przekonania mężczyzn o swojéj czystości i poszanowaniu dla prawa, zasmakowały tak dalece w składaniu prób tego rodzaju, iż korzystały skwapliwie z każdéj sposobności, jaka nadarzała się ku temu. Z czasem też rozciągnęły one obowiązek swój także na dalszych kuzynów, narzeczonych itd.; rzecz stawała się coraz interesowniejszą dla stron obudwu, i w końcu przyszło do tego, że ustawa poszła zupełnie w zapomnienie, a pozostał tylko zwyczaj całowanie się, nie połączony wcale z kontrolą wina.

Tak utrzymują jedni. Drudzy zaś odnoszą początek tego symbolu miłości do innego wypadku w dziejach starożytnych. Oto ich podanie:

„Po zburzeniu Troi błąkali się długi czas bez przytułku Trojanie i Trojanki, którzy uniknęli miecza i ognia. W końcu jednak zebrali się wszyscy i postanowili puścić się na morze do Włoch, i wpłynąwszy do Tybru wylądowali na brzegach jego. Męzka część przybyszów udała się na ląd, ażeby wynaleść miejsce dogodne na założenie kolonii; niewiasty zaś, znużone długą podróżą morską, chciały mężom swoim odjąć chęć do dalszéj żeglugi i naradzały się, jakby to uskutecznić.

Po dłuższéj rozprawie zgodzono się wreszcie na to, by podpalić statki, i plan ten został natychmiast wykonany. Zaledwie kilka godzin upłynęło, były już wszystkie okręta spalone.

Trojanie spostrzegłszy zdala łunę pożaru, pospieszyli przerażeni na pomoc. Przyczyny pożaru nie podobna było zataić. Niewiasty, po dokonaniu tego bohaterskiego dzieła, przejął strach wielki. Ażeby tedy przytłumić w zarodzie wybuch gniewu swych mężów, postanowiły spiesznie i jednomyślnie, wybiedz naprzeciw nim z otwartemi rękoma, pochwicić ich w swoje objęcia i ustami swemi zatkać im gębę otwierającą się dla przekleństwa.

To przyjęcie nadzwyczajnie, ale zresztą wcale przyjemne i poparte pieszczotami kobiet, nie chybiło zamierzonego celu. Trojanie pozostali na miejscu, zajęli kraj i zbudowali miasto, to samo, które znamy dziś jeszcze pod nazwą Rzymu."

Podanie to sprzeciwia się wprawdzie, szczególnie co do ostatniego ustępu, wszelkim dotychczasowym przepuszczeniom, ale to nie ma nic do rzeczy. Na pamiątkę téj czułości Trojanek — dodaje owe podanie — utrzymał się dotąd w Rzymie zwyczaj całowania, i przeszedł, zapewnie jak rozmaite inne zwyczaje, aż do naszych czasów.

I my też poprzestalibyśmy chętnie na tem podaniu, gdyby nie głosy szkaradnych niedowiarków, którzy utrzymują, że całus jest równie starym, jak ród ludzki, a nawet starszym jeszcze; bo nim jeszcze Adam i Ewa mogli używać tego telegrafu serdecznego, całowały się już dziubkami gołębie raju, i w ogóle można przypuszczać, że od nich t. j. od tych gołębi, wyszła pierwsza myśl tego zwyczaju, panującego dziś na całym świecie. Że zresztą całus starszym jest od Rzymu, świadczy o tem „stary testament," gdzie w kilku miejscach jest mowa o pocałunku czci, jak np. w księdze Hioba. Nawet ojciec Homer, czyli właściwie zebrane pod tem imieniem starogreckie poemata, wspominają już o całusie. Dość, że całowanie było już znane ludom starożytnym, i służyło u nich, jak i dziś jeszcze u nas, za wyraz rozmaitych uczuć. Całowano na znak miłości, przyjaźni, uszanowania i t. p., i w historyi wszystkich narodów można znaleść najwyraźniéjsze ślady tego zwyczaju.

Nam jednak nie chodzi tu wcale o psychologiczną analizę wszystkich rodzajów całusa; bo podzielamy najzupełniéj zdanie Demokrita, że jedynym prawdziwym całusem jest i będzie zawsze pocałunek miłości, który bez względu na czasy i zwyczaje zawsze był jednaki, i znajdzie zawsze swoich wielbicieli i zwolenników, gdzie tylko biją dla siebie dwa kochające serca. Przy dzisiejszéj dewizie: „że całus uczciwy nikogo nie krzywdzi" — nie bywa też i kradziony całusek tak bardzo źle widzianym. Ale przodkowie nasi nie znali żartu i w tym względzie, a dowodem tego są stare wilkirze i kodeksa, które skradziony całus karały surowo jako stuprum violentum implicitum (rodzaj szkaradnego gwałtu), a nawet zajmowały się kwestyą, czy dziewczyna, która się dozwala całować bez oporu, może z wieńcem mirtowym iść do ołtarza? Przestrzegano też bardzo surowo tego obyczaju; jak wiadomo, nie wolno było u nas nawet narzeczonemu całować przed ślubem w usta swojéj bogdanki, a i same dziewice karciły nieraz namacalnie, chociby najdostojniejszego śmiałka, za podobną kradzież. Dzisiaj — inne czasy, inne zwyczaje! — i grzeszna młodzież nasza (rozumie się rodzaju męzkiego) powinna gorąco dziękować losowi za tę zmianę, gdyż inaczéj nie wyszłaby nigdy z pod kondemnaty, a co najmniéj, chodziłaby zawsze z opuchniętą twarzą.

Wspomnienie pośmiertne o — krynolinie.

„Jeżeli duchowieństwo przed czteromaset laty uważało szatana za wynalazcę prochu i sztuki drukarskiéj, komu też należy przypisać wynalazek krynoliny? Pewnie także nie aniołowi. A przecież należy się zaszczyt tego wynalazku najbardziéj postępowemu stuleciu, cywilizowanemu narodowi i najwyższéj klasie społeczeństwa. Jeśli zaś mamy nazwać po imieniu damę, która stała się matką krynoliny, tedy jest nią pani Eugenia Montijo de Guzman, cesarzowa francuzka, która przed czternastoma laty na tuilerskim balu w Paryżu wystąpiła po raz pierwszy w krynolinie, a o któréj szeptano sobie wówczas z miną tajemniczą, że wynalazła strój ten dlatego, ponieważ zakrywa zręcznie defiguracyę, jakiéj czasowo podlega płeć niewieścia. Być może, że istotnie łączył się zamiar taki z tym wynalazkiem; być może, że piękna i roztropna cesarzowa sama wówczas potrzebowała czegoś podobnego; ale w gruncie rzeczy wpłynęły przecież na powstanie téj mody inne, głębsze czynniki, których źródłem nie jest cel osobisty. Widzieliśmy, że już od roku 1840 pęczniał coraz bardziéj ubiór kobiécy; zaprowadzenie krynoliny było więc od dawna już przygotowane trybem mody, i w końcu musiało nastąpić jako konieczność. Zresztą nie trzeba zapominać, że krynolina nie jest bynajmniéj nowym wynalazkiem, lecz właściwie starym tylko zabytkiem, który nanowo wydobyto z pomiędzy rupieci, czyli mówiąc grzecznie, nie jest ona parweniuszką, lecz młodą latoroślą staroszlacheckiéj familii, która kwitnęła już w kilku pokoleniach. Liczy ona już w swym rodzie dwie prababki, z których dumną być może: hiszpańską spodnicę obręczową w siedmnastym, i francuską w ośmnastym wieku. Z obydwoma wiążą się ciekawe daty historyczne, ale i potomek ich z dziewiętnastego wieku nie ustępuje im wcale co do znaczenia historycznego. Uważano bowiem, że każdego razu, gdy szczególny ten strój pojawia się i nadymać zaczyna, a równocześnie z nim — jak to bywa zawsze prawie — także fryzura kobiet się podnosi, można z pewnością liczyć na ważne katastrofy w dziejach. Po obręczach hiszpańskich nastąpiła trzydziestoletnia wojna, po francuzkich — rewolucya. Tak też i nasza nowożytna krynolina była już od początku swojego istnienia złowrogą zwiastunką przyszłości. Czegożto nie przyniosła nam ona? Wojnę krymską, włoską, olbrzymią wojnę amerykańską, i krótką ale stanowiącą epokę wojnę niemiecką, rewolucyę polską, grecką, rumuńską, hiszpańską i meksykańską, upadek rozmaitych tronów i t. d. A co przyniesie nam jeszcze? I nie jestże to nakoniec dziwnem a poniekąd zabawnem nawet urządzeniem Opatrzności, że odnowicielką téj mody stała się właśnie małżonka męża który na losy dzisiejszego świata tak znaczny a może i najznaczniejszy wpływ wywiera ? !"

Szarada.

Pierwsze i drugie na głowie spoczywa,
Trzeciem lud pewien długość miejsc nazywa
Czwarta zaimek, a wszystko wśród grzmotu
Siejąc zniszczenie, zmusza do odwrotu.

(Rozwiązanie szarady w nr. 36: (*Łamigłówka.*)

Korespondencya Redakcyi.

Pannie Aleksandrze Ł. w Bydgoszczy: Z przyjemnością do życzenia jéj zastosujemy się. Panu Alfredowi we Lwowie. Praca pańska o Kobietach w Polsce jest pełna interesu. — chociaż sąd wydaje się nam nieco za surowy i jednostronny. Bolesławita powiedział, że kobieta XIX wieku w Polsce, do kobiety XVIII wieku, do matrony XVII wieku, do niewiasty XVI, do białogłdwy XV ... jak niebo do ziemi nie podobna. Małżeństwo dla większéj części jest kontraktem i spółką, wychowanie nudną pańszczyzna, życie kupiecką książką o podwójnéj rachubie, prowadzoną według wszelkich reguł sztuki. Prędzéj można przebaczyć owe niegdyś często powtarzające się słabości i serca obłędy, niż ten dzisiejszy rozum zimny, z którym się sprzedają lada starcowi zgrzybiałemu; lada majętności lub tytulikowi. W obłędach uczucia można było dopatrzeć wiary w szlachetność człowieka, w ideał jakiś, któremu często poświęcało się za wiele, ale z pobudek szlachetnych, dziś poświęca się wszystko bez czucia, bez wiary, dla chleba, dla próżności, dla imienia, dla pozycyi.

Ta jest charakterystyka wielkiéj części kobiet nie tylko w Polsce, ale na całym bożym świecie. Z drugiéj zaś strony, chcą być bezstronnym, musisz Pan przyznać, że i druga połowa rodzaju ludzkiego w swoim zakresie ten sam ciężar grzechów dźwiga. Pomimo, że nie na wszystkie sądy i porównania zgadzamy się z panem, chętnie pracę Jego w piśmie naszém zamieścimy. Panu Wł. Ordonowi w Krakowie: Przepraszamy za opóźnienie odpowiedzi. W tych dniach list Pan otrzyma.